
Rafał Solewski

Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

ORCID 0000-0001-9631-9257

Epistula a Manoppello

Publikowany wcześniej referat *Żywa intuicja prawdy. Interpretacja doświadczenia religijnego w oczekiwaniu na spotkanie ze Świętym Obliczem*, interpretujący doświadczenie oczekiwania na spotkanie z relikwią Volto Santo jako grę *sensus fidei* (zmysłu wiary), rozumu i wyobraźni, został przedstawiony na konferencji „Metafizyczność obrazu. Obfitość przenikania, czyli o synestetycznej wartości dzieła” w skróconej formie, co znacznie ułatwiło pracę tłumacze na język włoski. Późniejszą częścią prezentacji była wypowiedź wygłoszona podczas spotkania z siostrą Blandiną Paschalis Schlömer, badaczką chusty z Manoppello, opisująca własne doświadczenie spotkania z Obliczem jako śladem życia i ofiary Chrystusa oraz chustą jako materią posiadającą własną historię. Religijno-duchowy i silnie nacechowany emocjonalnie charakter doświadczeń związanych z pobytem w Manoppello, obcowaniem ze Świętym Obliczem oraz przygotowaną jako wotum wystawą *Twarzą w Twarz* wywoływał reakcje, które łatwiej było wyrazić poprzez poetycką narrację niż naukowy dyskurs. Taką zatem formę przybrało to nieoficjalne i alternatywne sprawozdanie z konferencyjno-wystawienniczego wyjazdu.

*

To miały być piętrowe łóżka – tak sobie to wyobrażałem, jak kiedyś w Kalwarii Zebrzydowskiej. Właściwie nie wiadomo było dokładnie, jak miało być u kapucynów, ubogich z definicji, załatwiane przez artystów – spontan i nieokreśloność w pakiecie. Nigdy nic nie wiadomo. No i ile wziąć tych euro na gotówce – denerwowałaś się. „Po krakosku” mówią na to *Reisefieber*.

Więc może podłoga w szkolnej sali gimnastycznej, może siano w stodole, jak w drodze do Częstochowy – a potem się pobraliśmy, pod okiem Przyczyny Naszej Radości, czułym i wyrozumiałym. Może wtedy odetchnęła z ulgą, że w końcu przestaniemy Jej zawracać głowę, ale nie przestaliśmy. Pewnie to przewidywała. Tak już ma, a my z kolei jesteśmy nachalni i natrętni – w każdym razie pod Jej adresem.

Najpierw było głodno – pizzerii nie otworzyli, wiadomo, Włosi – i zimno w środku, to prawda. Ale kiedy lazurowe ciepło italskiego nieba całkiem się rozlało, chłód okazał się zbawienny, a zbawienie stawało się właśnie naszym udziałem. Owszem, były pokoje z kilkoma łózkami, lecz nieużywane – obok małżeńskiej dwójki – w willi z XVII w. po remoncie, z widokiem na Majellę w Abruzji i śnieg. A na schodach ganku, przechodzących w arkadową loggię, można się było opalać z jaszczurkami.

Bardzo lubiły okruchy słodkiego ciasta, które zostało jeszcze z Wielkanocy – babkę drożdżową z migdałami. Byliśmy sami, tylko z Jezusem nieopodal. No dobrze – raz wpadł Kazik Piotrowski, ministrant, na konferencję. Opowiadał wtedy, w długim wywodzie, o tomistach, jak słuchał Krąpca, o herezji niektórych neoplatoników i wczesnego Warpecha w zeszycie z trójgłowym rogaczem, pożądliwie sikającym, o nicości i apokatastazie u „tych niektórych”, o irreligii i mobbingu zaraz potem, a na końcu o potrzebie fortepianu dla żony, która chce grać na organach w kościele – co się jej zresztą chwali...

Na tej konferencji, zatytułowanej „Metafizyczność obrazu. Obfitość przenikania, czyli o synestetycznej wartości dzieła”, a po włosku „Metafisicità dell’immagine. L’abbondanza della pervasione nell’esame del valore sinesteticco dell’opera” albo jakoś tak, podniosłem w każdym razie, opowiadałem to, co już wiesz powyżej, tylko krócej. Właściwie modliłem się przed wszystkimi...

Tyle że nie dało się tak całkiem. Jezus był jeszcze bliżej, łamał serce i głos – nie dało się... Mówiłaś, że sama się popłakałaś... Podobno w Medjugorje też tak jest, i w Santa Maria Maggiore. I punki tak mieli z Pelanowskim, który się ostatnio wymiksował. Z Kazikiem Piotrowskim też o tym było, albo o Rysiu krytycznie. A ja sam tak miałem, gdy nade mną modlono się w językach, u Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Ale to było na miejscu, w Mistrzejowicach...

Bernadeta – ta, którą w innym miejscu przezywam Soubirous – ładnie nas wszystkich przedstawiła. A Agnieszka – ta, którą gdzie indziej nazywam Rzymianką – miała zawsze taką torebkę z trzema kanapkami gotowymi na każdą okazję, sweterkami i wystawą wszystkich w środku. Jak ją już stamtąd wyjęła, to do zainstalowania wtedy już razem, w sanktuarium przed Chrystusem, pod tytułem *Twarzą w Twarz*, po włosku *Faccia a Faccia*, albo jakoś tak. A może to był plecak ucieczkowy Agnieszki, którego o mało nie zgubiła na lotnisku?

Bo zaraz za świętymi, jubileuszowymi drzwiami witała folia życia – uroczyście, złota od światła odbitego i wzmocnionego. To się nazywa *entrée*,

chyba samego Ducha Świętego, po francusku, albo iluminacja według Pseudo-Dionizego Areopagity. Luke Skywalker – inni mówią Mword, trzymał tam swoich w ciepłe, mnożących się żywo w soczewce, w nasieniu wrzuconym w środek ostrożnie, a nowocześnie rosnącym ku innym, bo ta folia polipropylenowa metalizowana była w National Research Center. Taka Art & Science, w Ameryce, żeby ogarnąć wszystkich, którzy chcą przyjść i popatrzeć, współobecni w odbiciu, świetle i ciepłe pod Chrystusową osłoną termiczną.



Fot. 1. Łukasz Murzyn, *Ma n'atu sole cchiu' bello, oi ne'. 'o sole mio sta 'nfronte a te!*¹, 2025

I dobrze zresztą robi z tą ochroną – czułą i niezawodną – bo spośród tych darów najcenniejszych, iluminowanych zaraz po Porta Santa, to wiarę tak łatwo oddać lekceważeniu właśnie przez błyskotliwą naukę w nowych mediach, choć zdaje się, że sam przykład bliskim wystarczy. A przecież miłości tak łatwo nie okazać, bo tylko dla siebie zarezerwowana w życiu samopas, pod pozorem troski w zaprzędanej krzątaniu, gdy nasienie niknie. Pozostaje nadzieja w złotym płaszczu miłosierdzia Schutzmantelmadonny, pokrowej Mater Misericordiae, w ciepłym świetle ogarniającym nawet tych, którzy odeszli na różne sposoby, pozostawiając świadomość daru, który zmarnotrawiłeś.

¹ „Ale jest inne, piękniejsze słońce, o moja kochana, moje słońce jest na twojej twarzy”.

I wtedy ucieka się do Nowego Jeruzalem, gdzie „śmierci już nie będzie. Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już nie będzie, bo [...] Oto czynię wszystko nowe”. Ono przychodzi samo do ciebie w feretronie Anny – wdzięcznej i gorliwej, jakby u Złotej Bramy, gdzie to się zaczęło, a potem przez Częstochowę, gdzie trwa, aż do Manoppello, gdzie skutki tego można obserwować.



Fot. 2. Anna Grąbczewska, *Feretron z kopią obrazu Matki Bożej Częstochowskiej*, olej na szkle, 53 × 79 cm, 2023, wnoszony do świątyni

W drewnianej ramie kroczy w orszaku, gdy patrzysz przejrzystymi oczami Hodegetrii na Święte Oblicze z Manoppello. Mimo Jego własnej dwójkości i trojakich szyb feretronu, widzisz Je poprzez Nadzieję peregrynującą, mimo wszystko – wśród aniołów Nowosielskiego, promienistą i poranioną, prześwieconą ludowymi błyskotkami, pokrytą malarstwem na szkle, po polsku, pośród kwiatów i krzyży, biało-bordowo-czerwono obecną, a jednocześnie transparentną i rozplywającą się. Iluminacja ma wszak swoją gradację

i hierarchiczność, dzięki czemu może przenikać obficie, łaski pełna – pozwól czerpać z Twojej obfitości.



Fot. 3. Anna Grąbczewska, *Kopia obrazu Matki Bożej Częstochowskiej z intencjami zainiesionymi do Manoppello*, olej na szkło, 45 × 45 cm, 2025, z prześwitującym Świętym Obliczem na chuście z Manoppello

Święte Oblicze powtórzyło się z fakturowym zafalowaniem; złote i przejrzyste przemieniło się w malowanie światłem na zeszkliwionym bisiorze, zabliznionym przez zgrzewanie – czułym, bo ciepłym, widzianym, przezroczystym i dostępnym do dotyku, aby być jak najbliżej, polisensorycznie ulegać odnajdywaniu, potwierdzaniu, widzeniu, powtórzeniu, trwaniu, przekraczaniu. Nadzieja to przecież wiara w to, czego nie można zobaczyć – ulotna i krucha, a jednak nadająca sens i podtrzymująca w trwaniu.

W napiętych, nabrzmiałych i pękających porach materii skrywa się ból i czas, implodujące w akcie woli, zabliznione w powrocie żywotnej energii, niedbałej o zmysłowe granice. Jak piasek na dnie morza podczas burzy, układany w coraz to nowe fałdy – gufrowany, wezbrany i rozproszony, przejrzysty, bo unoszący się w wodzie, opadający i układany od nowa, podczas gdy małże niewzruszone – omulek i szołdra – trzymają się skał najmocniejszą, jedwabistą nicią; tak od dwóch tysięcy lat trwa ten bisior.

Sam miód, bzycający pracowicie i ruchliwie, płynie złoty przez światło, zatrzymuje je na chwilę, aby odsłonić moment kolejny – inną chwilę, gorącą i złotobrazową, rozjarzoną jak surówka spływająca z martenowskiego pieca.

A potem nagle moment seledynowy, zielonobłękitny i chłodny dla wytchnienia, szmaragdowo-morski z jedwabistą nicią omułka i szołdry rysującą fale. A przecież to tylko szkło – żółto-kremowo przezroczyste jak lamperia sanktuarium, czarne, gdy zgasły światła... Ale znów srebrzystobiało przezroczyste rano, sama widziałas...



Fot. 4. Jacek Pasieczny, „NIE MATERIA, A OBRAZ”, technika – *fusing*, 2025

Bo „obraz zmienia się w zależności od sposobu przenikania go przez światło” – pisze po polsku Jack von der Bienen, jakby go nazwali w szkole naddunajskiej, albo der Emker, przyznał się raz siostrom *Ich spreche Deutsch*, zalotnie, w każdym razie ten, co to robi miód razem z pszczołami, świetlisty od szkła i kolorowy od witrażu na tym plenerze w Manoppello, bo pszczołami to on się przecież opiekuje na wszystkich plenerach, czyli zawsze.

Towarzyszyły przed moim wzrokiem te prace wynikłe z naszej wizyty stacjom Męki Pańskiej w bocznych nawach, przylegały do filarów, leżały

w kaplicy, stały w nawie głównej – uroczyście wprowadzone, a skromnie, ubożuchno i z wyczuciem, aby po zdjęciu z przygodami trafić do mauzoleum.

Na kracie wejścia prowadzącego doń, do zakrystii i do klasztoru ojców kapucynów naraz, pod witrażem, skryła się nieśmiało Bernadeta Soubirous, wybudzona barwną akwarelą – pionowym tryptykiem o splocie bisioru w indygo na bieli, w drewnianej, ceglasto-brązowo-żółtej ramie wykonanej przez Ojca z satysfakcją i z muszlą w drodze pielgrzymów do św. Jakuba i gwiazd dwunastu, tych z Apokalipsy, zawłaszczonych dziś politycznie przez smoka, gdy tymczasem winny być Niepokalane...



Fot. 5. Bernadeta Stano, *Bisior. O braku i tęsknocie*, akwarela na płótnie, 30 × 40 cm, 2025

Malowanie, wywołane z zapomnienia, jako służebne Objawieniu i doświadczeniu ponad brakiem, deficytem i spojrzeniem wstecz przez okno w Radziejowicach, symbolizowało wytęsknione, jak zdrowie przez pielgrzymów do źródeł w Lourdes albo jak życie zmartwychwstałe, przez tych, którzy jak my, zmierzali do chusty z Manoppello.

Do Agnieszki, tym razem w Pradze, Święta Klara napisała nawet list z modlitwą do pięciu ran Chrystusa. Agnieszka odpowiedziała na ten list w prawej nawie, naprzeciw krzyża i zgodnie z jego logiką, gdy na filarze ułożyła tę samą modlitwę, ale do kontemplacyjnego wpatrywania się, gdy przenieść wzrok ze Świętego Oblicza w ołtarzu sanktuarium.



Fot. 6. Agnieszka Daca, *Pięć Ran Chrystusa* collage, akryl na płótnie, poliptyk: 5 razy 20 × 20 cm, 2025

Pięć prostokątów, kuliście wewnątrz przedziurawionych, wyodrębniło i powiększało na sino-bordowo-amarantowym tle obudowy szaroczarne otwory, ziejące bólem, poszarpane cierpieniem i brązowiejące śmiercią – zwyciężonymi w zbawczych stygmatach. Za ranę Twojej prawej ręki Agnieszka ofiarowała umartwienie; nie wystarczała jej zwykła słabość zdrowotna ani chłód pomieszczeń. Kazała wozić się w bagażniku, zwinięta w kłębek dla wygody reszty pielgrzymów – tak przynajmniej deklarowała.

Za świętą ranę Twojej lewej ręki Agnieszka oddała Ci, Jezu Chryste, wolę decydowania o sobie samej, choć poglądy ma przecież jasno sprecyzowane, jak pewien europoseł, który właśnie kandydował na prezydenta za jej sprawą. Chyba tylko za tę światopoglądową konsekwencję potrzebna jej była pokuta – podobnie jak za najświętszą ranę Twojej prawej stopy. W każdym razie dzięki tej pokucie Agnieszka codziennie przyjmowała Sakrament Ciała i Krwi Twojej, jakby prawie przed odejściem do Ciebie. A my przyjmowaliśmy Cię tak jak i Agnieszka, i dobrze nam z tym było – chwała i cześć niech będzie za ranę Twojej lewej stopy!

Wraz z Agnieszką pragnęliśmy tej prostej miłości. Dbały o nią Służebniczki Przenajświętszej Krwi – właśnie tej, która wypłynęła z najświętszej rany Twego boku, Jezu Chryste, i płynie wciąż wraz z miłosierdziem dla nas. Taka to była korespondencja Agnieszki, tym razem z Pragi, ze świętą Klarą, na filarze sanktuarium w Manoppello – jakby wizualne zeznanie w procesie kanonizacyjnym, wcale nie spóźnione, bo transcendentalne. W końcu to sztuka, i przede wszystkim w świątyni, tuż obok Volto Santo.

A wszystko to Wotum Stacha za ocalenie, tych jedenaście oddechów powracającego życia w prawdziwie złotych aureolach, w elektrycznym łuku rozjarzonym plazmą, czerwono nabiegłym życiodajną krwią, w jedwabistych tchnieniach, w drżących atomowych jądrach promieniujących słonecznie Hostii... Spektroskopia na lipowych szkatułach rezonujących miękko te głuche uderzenia nuklearnego lochu, co się doń wjeżdża jak do szuflady w bezruchu na amen, zdejmującego warstwami naścienne malowidła z pobytu w katakumbach Covid-19 – na 98,9% zajęcie płuc, na 1,1% peryferia życia, leżąc pod tym podarunkiem z Wuhan...



Fot. 7. Stanisław Wójcicki, *11 oddechów*, 11 silversztyftów 18 × 11 cm, 2025

I nagle zaczerpnięcie tchu jednym haustem, głośnym i wielkim, przed małym obrazkiem Volto Santo – jedenaście razy delikatnie pomnożonym, dla przeciwwagi po japońsku, wentylacja kolorowym tuszem, ekstrahowanym z żywicy liści sandałowca Kuretake Gansai i z atramentowym rysunkiem Kakimori. Jak on to wszystko wytrzymał – na welonie Zmartwychwstałego w Manoppello, w kaplicy Madonny Pompejańskiej, gdzie wcześniej była Ta Chusta, jakby taka sama, z plamami złoto zmartwychwstałymi i reanimacyjnie odcisniętymi na drewnianych pudełkach z płytami CD, wypalonymi silversztyftami w tej atomowej szufladzie bezdechu i z rysunkiem wydrapanym Tchnieniem Twoim, Panie Jezu.

Powtórzoną zresztą wielkoformatowo w sgraffito – technice popularnej w renesansie i art déco – na ścianie u sióstr Służebniczek Przenajświętszej Krwi, przez cały ten czas powstawało od Staszka to Twoje Oblicze, Jezu Chryste, takie samo jak odbite na bisiorze, ale teraz mocne, twardo giętymi liniami rysunku i fakturą wezbraną na białym tle.



Fot. 8. Stanisław Wójcicki, Volto Santo, sgraffito, 2025

Dobrze, że Staszek woził Agnieszkę stale tą Zafirą, nawet w bagażniku, bo był wtedy *spiritus movens* dla wszystkich. Ta torebka była chyba ciężka z taką wystawą, podobnie jak plecak, a feretron – czterech chłopca by go uniosło. Sama widziałaś.

Tak à propos, po francusku ojciec Antonio zgodził się na tę wystawę, ale potem z ojcem Marianem chyba mieli ciche dni. Choć Bini – też Antonio – bardzo ładnie o nas napisał, i to z ilustracjami, po włosku. Tak myślę, że ładnie, bo po włosku nie umiem. A Patricia Enk to szeroko po angielsku *Encounter with the Transcendent at the Conference on the Metaphysics of the Image* na “Ilumina Domine Blog”.

Sama mi wtedy czytałaś, że ta chusta z Oviedo to zbierała krew w czasie męki i tuż po niej, w Wielki Piątek, a ten całun z Turynu to w Wielką Sobotę martwe ciało owinięte, jak negatyw, tłumaczyłaś jak siostra Blandina, ale już wywoływany w ciemni, bo w Manoppello to odbitka ostatecznie utrwalona w chwili Zmartwychwstania, na bisiorze położonym na twarzy, albo diapozytyw raczej – dopowiadał Sebastian, podczas rezurekcji w Niedzielę bladym świtem, po rosyjsku *воскресенье*. Trochę to teraz niepolityczna refleksja językowa. A siostra Blandina w międzyczasie nałożyła na siebie i porównała te chusty, te relikwie największego wydarzenia w dziejach ludzkości. Warpech pisał, że to był najważniejszy performans.

I przed tym Obliczem, utrwalonym, trwając dzień w dzień, wpatrzony w cierpliwej ciszy, mówiłem do Niego: „Przeniknij mnie, przygarnij i ogarnij, jak mówią młodzi – opatrz i wesprzyj, posiądź i skrój na Twą miarę, pochłoń, niech w Tobie pogrążę się, utonę i rozpłynę, zabierz mnie”. Kazik Piotrowski może widziałby w tym orygenizm, ale cóż, tak mam – u Akwinaty też zresztą było w *Summie*, kochaj mnie, bo brak mi sił, tak bardzo nie dają rady, potrzeba miłosierdzia... Zbaw mnie i wybac mi i tym wszystkim, za których ofiaruję te odpusty... Tyle jest za uszami...

Porta Santa dostarczyłaś już do Manoppello – mówi ojciec Marian – nie musimy jechać do Santa Maria Maggiore, Przyczyno Naszej Radości, tym bardziej że tam teraz kolejki do grobu Franciszka, a Leon XIV to dał jeszcze odpust już w powrocie samolotem, jak go wybrali, w telewizji, po amerykańsku... Zaradz tęsknocie...

Monika, Służebniczka Przenajświętszej Krwi, co dzień na mszy o 7:30, wobec tego Oblicza rozjarzonego dla nas, na różne sposoby mówiła językami – tak mają Anioły Stróże – kiedy siostra Blandina puściła Beethovena, żebym zobaczył w tym Obliczu radość i smutki wzrastania i dojrzewania: głoszenie i nauczanie, satysfakcję ze zrozumienia i przyjęcia, trud drogi, znużenie, wyrozumiałość, roztrzepanie apostołów i uczniów umiarkowanie pojętnych, entuzjazm, śmiałość i odejścia, załamania, zdradę, ból, cierpienie, torturę, zgrozę, śmierć i odrodzenie, zabliznienie, ponowny głód i smak życia, a wreszcie wieczne miłosierdzie, które oglądali w Dziejach Apostolskich,

a z nimi Lidia, a u nas Faustyna, bo to nie tyle rozciągnięte w czasie było, co jest transcendentne.

Bruzdy pozostałe po dziejach tej materii – prawdziwego znaku, Weroniki, ocierającej i rozpostartej między Jerozolimą, Edessą, Kamulianą, Bizancjum, Rzymem i jego rzezią przez luterskich landsknechtów, Manoppello i jego kapucynami, troskliwymi, rozbrykanymi, kochanymi, niemieckim spiskiem Blandiny, Pfeiffera, Badde, Ratzingera, a może nawet naszego Jacka von der Bienen, co się tak wszystkimi opiekuje jak pszczołami od miodu na wszystkich plenerach... Przemieniały się te bruzdy w struny, po których przeciągał się smyczek w unisono skrzypiec i ciężkiej powadze wiolonczeli... By przywrócić radość zmartwychwstałego życia widzianego oczyma wiary, poprzez *sensus fidei*, w asteiologicznym rozumieniu i caravaggiowskim dotknięciu... I wybiegał poza pięciolinię w procesji do świętego Tomasza w Ortonie, pił *caffè corretto* do świętego Marka w euforii i Pacentro z niepotrzebnymi wieżami, pozował do beczelnej selfie z cudem eucharystycznym w Lanciano, mruczał murmurando, zajmując Rocacaramanico razem z kotami, zamierał w Badia-Bagnaturo – tam uwięziony i zamknięty na amen, ku rozpacz ojca Mariana, osiołka, co się potknął, wywrócił i zdechł z tej zgryzoty. No co, sam tak mówił, jak już zdechł, choć tak naprawdę to wcale nie.

Wszyscy dość już mieli tej mojej wypowiedzi. Znajoma jaszczurka, obżarta ciastem wielkanocnym, uciekła po ścianie galopem – miałem nadzieję, że razem z moimi grzechami, bo modliliśmy się wtedy nieustannie, jak do tego namawiał święty Paweł, i synestetycznie, jak to sobie wyobraził Staszek w swoim projekcie. I zbawiennie, jak tego chciał sam Jezus. Choć badacze sztuki to mówiliby uczenie, że immersyjnie, relacyjnie i afektywnie, bo byliśmy tam uwrażliwieni – wszyscy razem, i *grazie, grazie, grazie, grazie mille!* – tak mówił pilot po wylądowaniu, gdy dostał oklaski, po włosku.